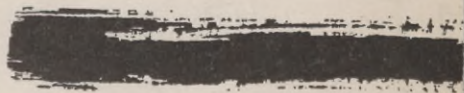
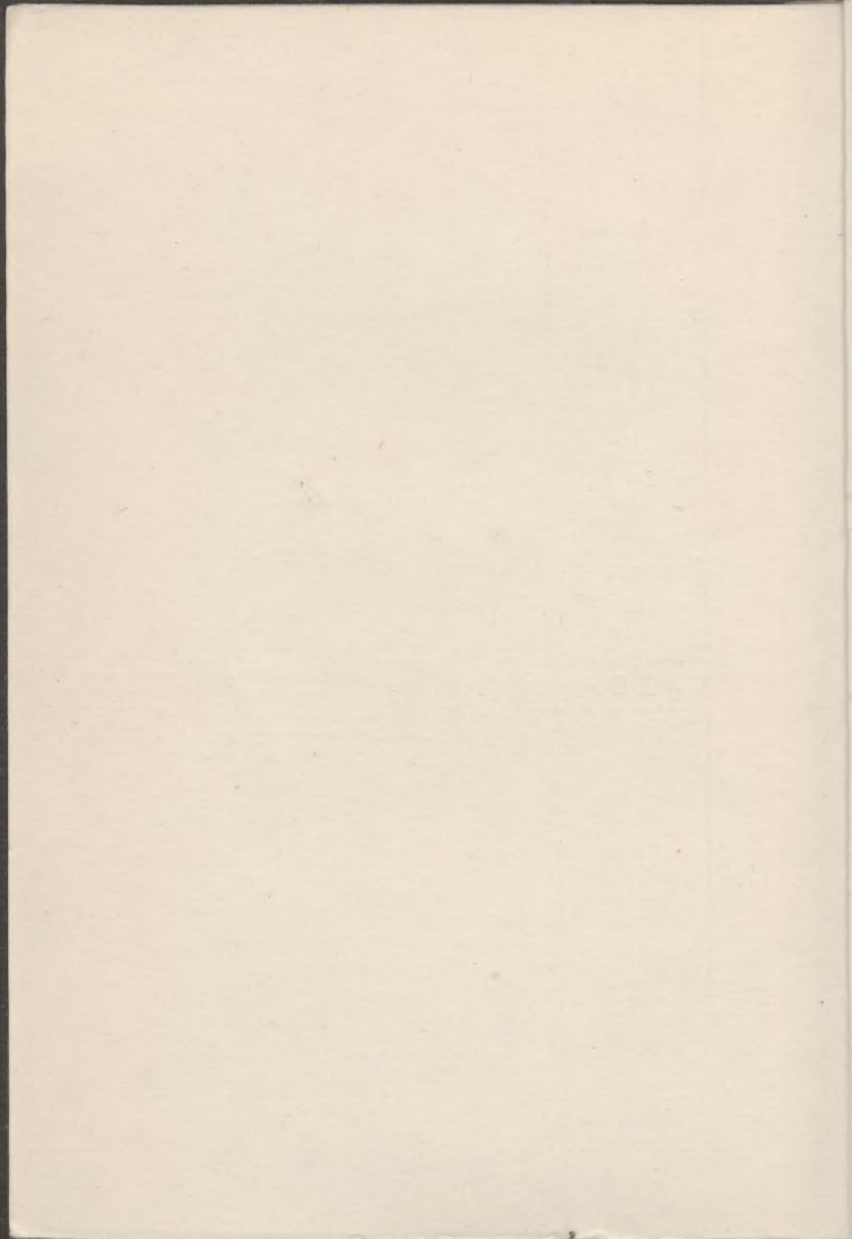


Czesław
Kuriata


W
KAŻDA
PODRÓŻ






CZESŁAW KURIATA
W KAŻDĄ PODRÓŻ

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY



Czesław Kuriata W KAŻDĄ PODRÓŻ



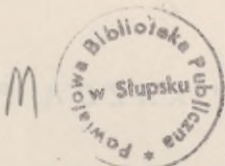
Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza
Warszawa 1966

Opracowanie graficzne:
RYSZARD DUDZICKI

MBP Słupsk Centrala



32935



Dz. 884-1

~~31680~~

32935

I

LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
Warszawa 1966

Wyd. I. Nakł. 1 500 + 283 egz. Pap. druk. mat. kl. III, 100 g
70 × 100, z fabryki w Kluczach. Oddano do składania 24. II.
1966 r. Podpisano do druku 10. III. 1966 r. Druk ukończono
w marcu 1966 r. Ark. druk. 2,375. Ark. wyd. 1,5. Zakłady
Graficzne w Toruniu, ul. Katarzyny 4. Nr zam. 2406. — F-12
Cena zł 10,—

PROŚBA

Wypełnij we mnie miejsca,
gdzie wieją dzikie wiatry,
zabłąkane przechodzą hieny
i rzucają się żarłocznie na światło.

Proszę, przejdź przez tę świątynię,
w której spowiedzi nie wyzwala nawet śmierć.
Otaczaj mnie człowiekiem jak tlenem,
ustom rozkaż, by nie potrzebowały mówić,
a brwi wyzwól od służby półkolistej.

Król i brat niech przyjdą
na mój dzień powszedni, dzień szczerzy —
niech zobaczą palce bojące się zła,
ich zbrodnię i mękę codzienną.

TO A TO

To a to
szukaniem i ciągłym lotem
ma coś z Ikara lotu
a może raczej
z jego wiecznego opadania
w którym chwila wiecznością
równaniem świata
wykrzyknikiem między niebem a ziemią

Jest ciągle do szpiku kości
wieczne szukanie jak obrót krwi
to a to
echem fal na dnie rzeki
i cieniem ryby na niebie
chwilą nieuchwytną
w której ptak kamienieje
o zachodzie w różę

To a to
jest w nas pięknem
póki nie poznane

ŚMIECH I PŁACZ

Ważny jest śmiech i płacz.
Płacz, gdy ciemność wschodzi,
że wzrok nie dojrzy nic,
że słuch nic już nie utrwali
i przepaść siada w środku,
i mgła zapełnia wszystko.

Ważny jest śmiech i płacz.
Śmiech, gdy srebrem odbija,
światło powieli na twarzy —
a fale jego to skrzydła ptaków,
a ruch to sedno śmiechu.

Bronię się przed stanem zera,
przed środkiem wagi —
przed neutrum pięciu zmysłów.

Ważny jest śmiech i płacz.

OBRONA ŁZY

Rodowód łzy jest stary.
Jej podróż tak realna:
dosadnie żłobi ciało,
przechodzi rzeczowo jak kulka rtęci
na wyciągniętej dłoni.
Kształt łzy bardziej serce przypomina
niż fałszywy symbol serca.

Mówi się, że łza jest banalna.
Dlaczego?

Łza jest konsekwentna.
Rodzą ją tylko szczyty,
jest daleko od przeciętnej
jak najżarliwsza część w płomieniu.

Mówi się, że tak mało precyzji we łzie.

Z PODRÓŻY WRÓCIŁEM

Z podróży wróciłem
do miasta, do domu
i mego krzesła —
do siebie mi daleko,
jak do najwłaściwszego znaczenia słowa,
w jego tyle a tyle — matematycznym znaku.

Z podróży wróciłem
(to śmieszne: jakby mnie ubyło,
choć we mnie kilka nowych zdarzeń),
oto granica stołu, krzesła, szafy...
A gdzie
ja się kończę i początek biorę,
gdzie ja — strzała Zenona z Elei?...

*

*

*

Dym opadł,
więc odwrót niemożliwy,
tylko welon szal u gardła trwały —
nikt już słowa nie udźwignie ni sylaby.

Dym,
śmiertelny materii oddech,
ten w niebo wzlot cieniem umarłych:
wzlot tak subtelny,
jak zabrudzony w wodzie obłąkanej Ofelii szal.

Taki hołd,
ceremonia i kadzidło —
więc prawie świętość ziemi
a spalenizny swąd oznacza już męczeństwo —
I niby nikt już nie wie
czy dym
to tylko
niezdrowy oddech ziemi...

UMARLI

Umarli wychodzą na wiosnę w samo południe i w słońcu
siadają ustawiając się w ciszy południa gdy dzwoni słońce
i godzina najjaśniejsza dnia ten szczyt bieli
bo ulubionym kolorem umarłych właśnie biel
na przekór wszystkim obwódkom kopert i telegramów

Umarli we wspomnieniach przepływają wodę rzek
w której najpierw po szyję po pas po kolana
brniemy krzycząc we śnie i zdrapując wytartą ścianę
potem umarli wchodzą w nas przyczajają się głęboko
zawsze gotowi do skoku wypatrujący chwili ataku
aż dojrzą strach w naszych oczach tę swoją porę
więc jak my kiedyś z rzeki unosząc umarłych oni
wspinają się coraz wyżej i wyżej oddając nam
sierść stare wspomnienia strach wlokący odwagę
jak wlecze kulę najcięższą u nogi skazaniec — więc
odtąd skazani jesteśmy na umarłych i rządzą nami
wszechstronniej niż o tym myślimy i pilniej niż
oddajemy im cześć dwa dni do roku

których nie lubią znudzeni jak król co rządzi
cały rok państwem a dwa dni ziewa
słuchając pochwał uroczystych i mowy poddańczej

Umarli żyją w nas i krew przetaczają na drogi
ich ostatnich dni życia — Umarli nie lubią bufonady
wiedzą że jutro i przyszłość ich w nas i dla nich
dopóki żyjemy zwycięstwo nad nami dzierżą i prym
więc jesteśmy niewolnikami umarłych choć dyskretnie
milczą o swej władzy i w tym władza doskonała
a tylko od czasu do czasu przychodzą zamienieni
w kuleczki lęku ale nikt o tym nie wie
że to oni więc śmiesz ich nasze opędzanie się
jak od roju pszczoł w pasiece przez nas założonej

Umarli wychodzą na wiosnę w samo południe i w słońcu —
nikt by nie przypuszczał jak długo jak serdecznie
śmieją się z naszych nieporadnych gestów i smutnego kroku
i widzą swoje podobizny w naszych oczach
i kto by pomyślał wcale im nie schlebia ta natrętność
i tak wiedzą że są w nas na zawsze — czasem dla przekory
chcą zobaczyć nasz bunt przeciwko nim ale bezsilność
wobec umarłych i nieprzyzwyczajenie się do dialogu nie serio
ot czego umarli nie znoszą i co ich irytuje najbardziej
ale oni już w nas tak mocno że klęską dla nas każdy dialog

Z WITKACEGO

Nie wiem co to początek:
pierwszy oddech i pierwszy krzyk,
przedmiot najpierwszy utrwalony wzrokiem
i jakie zdziwienie,
gdy światło zobaczyłem zza okien.

Co to znaczy być sobą
i nie wiedzieć, że się nim jest?

Potem — co dzień
być dla siebie najdalszym przechodniem:
jakikolwiek odkrycie,
każda wiedza o sobie
wciąż przekreślana życiem.

Co to znaczy nie żyć,
gdy się właśnie żyło?

PRZYPOWIEŚĆ

Radość
jest lotem piórka na wietrze —
nie zostaje w nas nawet
jak przeszłość.

Smutek nagły:
lokomotywa przecinająca słońce
na szynach.

NADREALIZM TEATRU

Poszli tancerze brzegami rzeka łśni

Widzowie wchodzą do bram sceny
pieczone jabłka trzymają królowie
cieszą się clowni z kukielek ustawionych
z jeleni przechodzących na rogach szybko
niebo już chore od światła czarnej ziemi
księżyc biały brzuch do gwiazdy zwraca

Mędracy dosiedli rzeki śmieją się biało

Aktorzy kulki liczydeł poodchylane
nad krzesłem gra się rozpoczyna
gonitwa oczu i myśli bezkształtne wody
słowa gromadzą się a mosty rozlane
pierwsze padają krople i zaraz potop

Zobaczono wielką grzywę a koń się nie ukazał

JEST WE MNIE NOC

Nie przywłaszczyłem sobie strachu
od występnych kochanków, którzy rozkosz czerpią z ciemności,
nie ma we mnie strachu złodzieja
skradającego się do cudzych mieszkań,
nie znam rozpaczy zabłąkanego, gdy gwiazd szuka
i daleki jest od gry w chowanego,
nie dziedziczę barw niewidomego z białej laski,
nie ma także we mnie tęsknoty człowieka,
który umarł nim światło wstało...

Jest we mnie noc, prawowita właścicielka miejsc —
jest we mnie za wcześnie ścięte zboże i ściernisko po nim...

MOIM TWÓRCOM

Gdy będę wyprany ze wszystkich możliwości,
prześwietlony spojrzeniami w każdy nerw
i zdjęty z barw bezlitośnie,
wygładzony dłutem w kształty idealne,
gdy zejda się we mnie podobieństwa innych —
Wtedy moi twórcy osiągną zamierzenie
tej więzi — abym nikomu oczu nie nadwerężał,
nie ranił nieregularnością kształtów,
żadnym czynem nikogo nie zadziwił
i w puch zamienił drut kolczasty nerwów —

A kiedy osiągną moi twórcy swoje zamierzenie,
nie będą wiedzieć, co zrobić z moim cieniem,
bo taki inny, nietypowy i nawet absurdalny,
że należałoby i ten cień także zniszczyć.

DZWON

Zawsze dzwonem zaczyna się objawienie
oznacza także wejście króla lub wieść
i dzwon nam towarzyszy aż do zgonu
jest zapowiedzią sedna które resztą
więc dzwon co słyhać na milę wokół
jest pustym echem nader uroczystym
pompą króla gdy siebie nim objawia
więc dzwon majestat spiż i tron
blichtr królewskich sług dźwięk ich kolan

Zawsze w głos dzwonu król się uzbraja
gdy mucha na suficie do góry nogami
gdy chmury kształt bez treści
dzwon ciągle w ruchu i w tym wszechwładzy pozór

Tylko raz jeden dzwon już nic nie znaczy
gdy Hamlet na królewskim balu ociemniałych
mówi o sednie które resztą i milczeniem



WAHANIE

Genezą wahania jest myślenie
i stąd wahanie zawsze będzie
tak cechą ludzką nagminną do przekory
przeciwnikiem zabawy i lekkości —
W wahadle zegarów jest także zamysł
i dzwonu zryw obwieszcza myśl lub stan
więc genezą wahania jest myślenie
gdy życie rozkołysze a wybrać trzeba —
Najboleśniejszy pierwiastek wahania
w skłonie głowy gdy cześć głupiemu królowi oddaje
wyjątek wahania i odmiana która się nie liczy
w kołysaniu kukły gdy wiatr
lub w teatrzyku kukielek gdzie to zwyczajne

Genezą wahania jest myślenie
przeciwne wahanu są oklaski
i dąsy bliższe są myśleniu
urodzenie śmierć i życie —
W tym wahanu zegar i dzwon

i królowi wieczny ukłon — więc dziecko tak zaczyna
jak starzec kończy i król we śnie nędzarzem
nędzarz królem — więc wahaniem
wszystko się zaczyna i wiecznie kończy —

BŁAZEN

Błaznowi już nic nie wolno
bo błazen śmiech miał dla pyszałków
własne oczy najwierniejszy smutek
i cecha ta najbardziej kwitła
(u podnóża przechodzących trupów w koronach
i kochanków zawsze w łóżku Pompadour)
błazna rozwagę i rozum czynił mądry śmiech
on wzorem winien być filozofom gdy chcą objaśniać
on wzorem winien być królom gdy chcą panować
i wzorem poddanemu jak objawiać najmądrzej
swe poddaństwo — —

Błaznowi już nic nie wolno
i już mu błazeństwa atut zabrano
więc najpierw strój zamieniano uparcie
i żelazo przybywało wciąż błaznowi
w powagę uparcie ustrajano w dzwoneczki ze spiżu
w dwie granaty w laskę karabinu

i odtąd słowa błazna miały być rytmiczne
jak marsz jak pościg jak atak i musztra —

Wreszcie że błazna już nie ma z radością stwierdzono
nie ma pod okryciem i stąd początkiem łyzy nie śmiech
na łyzy sposób prostszy i mniej wysiłku
stwierdzono dalej że fałsz nie błazen pod okryciem
i tylko widzom i słuchaczom rosły błazeńskie czapki
nie dziwiło to nikogo każdy był podobny
w oczach własnych widziano oczy błazna i przepowiednię
odtąd jednak już milczenie wokół bo do mówienia
błazen według swego stanu był uprawniony

Błaznowi już nic nie wolno —

Teraz śmiech na bagnecie błyskiem się jeży
na nim gołąb nie usiądzie jak siadał na głowie błazna
teraz sam król stawia hełm przed komnatą
nie wiadomo już tylko czy została błazeńska wyższość
ponad stan gdy z królem był na ty
i mówił królowi co on nie śmiał poddanemu —
Błazen znikł i wyparował zmienił stan fizyczny
i jest już bez znaczenia nawet gdy wspomina
błazeńskie swe zasługi
jest teraz alfą i omegą lub niebytem
jak każdy outsider gdy dawno skończona rola

GAZETA

Człowiek czytający gazetę kijem w mrowisku —
Jak się to mrowisko trzyma i aż dziw że żyje

Tu uklucie w piętę stąd uklucie w serce
Przed oczyma obraz i już cierpkość w ciele

Wiem — mówi — jabłko pada niedaleko jabłoni
Znam to — myśli — kiedy zadzwonią król nagi

Już człowiek czytający gazetę sam mrowiskiem
Aż dziw — mówi — jak siebie trzymam w garści

Z próżnego i Salomon nie Gdzie się stu bije
Tam — mówi — pięćdziesięciu kopie wielki dół

Dołowi nie dorówna — kończy — uderz w stół
To śpiew łabędzi odruch który nagli tętno

Krew nie woda więc już w rzece leży tęcza
Kiedy ją rozbierali to zaraz zbladła jak

Aż dziw — myśli znów — tajfun a zwykły wiatr
Więc — mówi — gazeta wiatrami jest podszyta

Człowiek czytający gazetę znów kijem w mrowisku
Jest jak palec boży w tumultie aż stu nadawców

LOTNIK ZNAD HIROSZIMY PROSI O KARĘ

Z prasy:

Claude Eatherly kilkakrotnie zgłaszał się do sądów z prośbą o karę za udział w bombardowaniu Hiroszimy.

Claude Eatherly kilkakrotnie usiłował popełnić samobójstwo.

Claude Eatherly został uznany przez amerykańską komisję lekarską za umysłowo chorego.

...jestem wariatem a wszyscy normalni
błądzą wokół jednego zdarzenia jak ćma
co zamknięta w płomieniu parzy się
i spłonąć doszczętnie nie może
jestem wariatem więc oczyszczę ludzkość
i pozbawię ich mego balastu
zamknę fakty zabiorę ze sobą fakty
ich powiekom dam swobodę snu
ich oczom zabiorę Japonki radioaktywne
ich oczom zostawię tylko światło słońca
wszak nie zaznali silniejszego światła
ich uszy nie zaznały najsilniejszego huku

jestem wariatem więc chcę odejść jak tchórz
zabiorę tę cząstkę śmierci setek tysięcy
zabiorę wszystkie śmierci ze sobą
ja prawie bóg niszczący miasta sygnałem
ja narzędzie doskonale precyzyjne człowiek
automat doskonały z wyłączeniem kory
ja automat wyrocznia doskonałej kory
jestem wariatem a inni normalni
więc chcę odejść i oczyścić ludzkość
pozbawić sobą świadectwa ich zbrodni
unicestwić siebie ich sumień nie budzić z zaniku
nie ruszać nie dotykać ich sumień ziarenek maku
nie rozszerzać w olbrzyma grzyba olbrzyma
jestem wariatem a inni normalni a wszyscy
mój dowódca moi przełożeni i naród mój
ludzkość normalna ludzkość rozsądna a ja
już wtedy byłem wariatem gdy jeszcze nic nie wiedziałem
a ja już wtedy wariactwo skupiłem w sobie
wszystkich normalnych oczyściłem ich doszczętnie
zabrałem ich zwątpienia zabrałem ich sumienia
zabrałem ich banalność ich tkliwość ich sentyment
zabrałem nad to miasto i tam je złożyłem
więc jestem wariatem tak idealnym wariatem
że byłem nim najdoskonalej gdy byłem podobny innym
gdy wykonałem zadanie specjalne zwykle
jak to na wojnie tylko zadanie specjalne
specjalne zaszczytne tylko dla super odważnych
więc chcę odejść ten gest pierwszy normalnego
ale jestem idealnym wariatem więc zostałem

...ja wziąłem pokutę na barki jak Chrystus
a nawet więcej jak Chrystus bo nikt mnie nie pojmał
nikt sądów nade mną nie miał ja sam
poszedłem do sądów ale moja wina
jest tak wielką winą że nie ma na to paragrafu
że ludzie bezradni że ludzkość bezradna
chcę kary za wszystkich sędzicie poświęcam siebie
akt dobry dla was — lecz nie chcecie nowego Chrystusa
myjecie ręce — boicie się aby wasz sąd nie był sądem
nad wami za waszą normalność — błagam poświęćcie mnie
zróbcie mnie winnym — symbolem tak najwygodniej
ktoś musi być winnym
więc wybierzcie ludzkość czy ja-symbol
oddaję się w wasze ręce dobrowolnie ja
i tym razem człowiek do zadań specjalnych
nie chcecie nie chcecie nie chcecie
to straszne że jestem wariatem tak normalnym
a wy tak normalni wariaci — tego nigdy nie było

...że ja nie wiedziałem — mówicie powtarzacie
to nieważne to gorsze od wiedzy
ja jestem ludzkość i ogłaszam rzecz straszną
ja jestem wszyscy ale mówię samotny
zróbcie coś ze mną — proponujecie nadal bohaterstwo
za honor za ojczyznę za boga za ludzkość
ach zróbcie coś ze mną — ja widzę to miasto
gruzów u swoich stóp — ja słyszę wciąż słyszę
te głosy bez przerwy — na dłoni te ciała
gnijące tak długo że poznaję je wszędzie
ja widzę odważnych do zadań specjalnych

więc błagam zróbcie coś ze mną
ja wtedy nie byłem wariatem więc zróbcie coś ze mną
że wykonałem tylko rozkaz — mówicie powtarzacie
ale wyście wiedzieli ja byłem wtedy wami
nie byłem jeszcze wtedy dla was wariatem
choć dla siebie nim byłem nie wiedząc o tym
uznaliście mnie za wariata mnie waszego bohatera
gdybym do końca pozostał w roli bohatera
nie zabrałbym wam waszego spokoju
ale ja chcę go zabrać więc ukarście mnie
błagam — ja tak normalny że idealny wariat
błagam — chcę oczyścić was z winy z szaleństwa

...nie przyznajecie się do winy nie chcecie ukarać
ale co zrobicie ze mną którego nazywaliście waszym
bohaterem a teraz ogłosiliście wariatem
a ja jestem zwykły Claude Eatherly
zrobiliście mnie tak wielkim bohaterem że
zostałem wariatem dopiero wtedy gdy przyszedłem po wyrok
za bohaterstwo — a ja byłem nim od tamtego zdarzenia —
dziś nie chcecie ustalać różnicy bohaterstwa i szaleństwa
nie chcecie obnażać siebie nie pozwalacie krzyczeć
uciekać i bać się gnijących ciał setek tysięcy
na moich dłoniach i mieć umarłe miasto u stóp
w moich oczach nie chcecie widzieć obłąkania mieszkańców
a ja w nich utrwaliłem obraz Japonek radioaktywnych
a to tylko awaria apartu fotograficznego samolotu
że przynoszę wam w swoich oczach setki tysięcy gnijących
nie liczyliście na tę awarię po której wyłączono
ze mnie waszą normalność i czas idealnie stanął

jedyną datą po której nie przeżyłem ani chwili
życiem Eatherly a zacząłem żyć wami
a to zbyt wiele to za wiele dla mnie
przeciętnego chłopca z Teksasu zwykłego chłopca

...więc przychodzę do was ukarście mnie proszę
ukarście mnie niech zrzucę ten ciężar
ach jaka szkoda wy nie sądzicie wariatów
wy nie sądziliście nigdy bohaterów
ale co będzie ze mną zwykłym chłopcem z Teksasu
ja nie byłem wtedy zwykłym chłopcem z Teksasu
ja byłem wtedy wami waszym sumieniem
więc co będzie ze mną waszym sumieniem
więc to śmieszne — spalam się w sobie za was
ale ja chcę sądu uznania mnie winnym
a wy zamykacie mnie w zakładzie dla obłąkanych
wyznaczacie następnych do zadań specjalnych
chłopców z Teksasu chłopców z Ohio chłopców z Colorado
co będzie z nimi co będzie ze mną zwykłym chłopcem
z obłąkanymi w oczach gnijącymi ciałami w dłoniach
co będzie ze mną — waszym sumieniem co będzie

MURZYN

Dziś także bębny murzyńskie na trwogę.
Echa monotonne
nie w święty ogień,
lecz w eter...

Nasz mądry lud wieczorami mówi:
murzyn zmienia skórę —
czerń jutro będzie bielą.

Dziś także bębny murzyńskie na trwogę.
Murzyńskie fajki dymią ogniem
nie znanym dotąd Europie —
tysiąc łagodnych bogów w gniewie...

Nasz mądry lud wieczorami mówi:
rdzawe już łańcuchy talizmany.

WCHODZĘ DO MIASTA

Ze wzgórza widzę miasto
potulne,
niespokojne jedną wieżą i kilkoma kominami —
usiadło mi u stóp
jak ktoś, kto zawinił.

Drzewem pod oknem
wrosłem w ulice
i miasto rośnie we mnie...

Wzrokiem
opanowuję domy,
neonami rozświecam drzewa —
z mdłoczerwonych świateł okien
(z nieodłącznym krzyżem ramy)
odczytuję życiorys robotnika
reperującego kuchenki gazowe,
robotnika zabierającego śmiecie
z ognisk domowych...

Wchodzę do miasta.
Wciąż te same place zostawiam
jak przestrzeń pod huśtawką karuzeli:
wspinam się po kominach fabrycznych
i przyswajam huk maszyn — —

Dlaczego odnajduję także swoją bliskość
w kamieniu
wyrwanym kopytem wychudłego konia?

RANNA DROGA DO PRACY

Najpierw wrywamy się z ssącej jeszcze nocy
co nie jest już nocą a w nas uparcie trwa —
czasem nagły zryw i strzał sobą — najczęściej
opadanie bo gest ręką pomnika i bagażem wczorajszego
dnia tkwi w nas kamieniem topionego kota

Potem grzebień lusterko wirujące przedmioty
wokół z każdej strony niby proponują nam usługę
łyk herbaty i uśmiech niechętny bo jeszcze reszta pomnika
na koniec tego obracania się w kabinie
łyk pleców do butów
jakby wywłócaniem drogi szykowaniem gładkości
gdy nasza twarz na bucie prawem wstępu do ludzi
jeszcze w zapachu od stóp do dłoni
i wyjście — nakreconą zabawką syna

Wreszcie marsz we mgle mijaniem innych
mijaniem się bułek z masłem chleba z szynką
w naszych teczkach i torebkach do szklanki herbaty

między dziesiątą a jedenastą lub kiedy szef pozwoli —
ten marsz obojętnym niezauważaniem
łagodnym mijaniem wycieraniem się rannym powietrzem
jak ręcznikiem
i mgła katalizatorem warstwą puchu więc bez skaleczeń
po ostatni akord łagodność — gdyby ta podróż dłużej
byłby człowiek człowiekowi bratem — Ale po ósmej
nagle dostrzeganie przeciwności u innych
więc budzą się w nas drapieżne pantery lwy

W FABRYCE ŻARÓWEK

Płomień
szklany pąk wytacza
i wrażenie:
twego wzroku promień
rozwija różę.

Oto rzeźba z błysku:
„stań się światło”
i
„więcej światła” —
światło w twoich palcach
grudką plasteliny.

Oto rzeźba z błysku:
już spod dłoni
ptak dojrzały wyfruwa.

NOCNI STRÓŻE

— Nie są własnością dnia i z nocą żadnego języka

Wtuleni w przedsionki bram w pękatość wrót
niczym stare kandelabry wymarłe światłem
gdy noc plazmą neonów jej żarłoczność i głód
wdziewają kożuchy menekinów i z cieni kratę

— Dwóch odzwiernych już tylko własne powieki zamyka

Halabardnicy współcześni już ani w tył ani w przód
noc zimową ocieplają a wciąż mrozą latem
siadają ciche amorki i żaden na serce nie czyha
gdy własne już ledwo i zagłusza je ciężki but

— Jakże wolno ciemność w tej bramie wysycha

Więc lwy u wjazdów już tylko w baraniej skórze
(w tym przekorność metafora i maska wieku)
tramwaj głosem i ten głos w nich najdłużej

aż wreszcie ożywi ich zapach rannych wypieków

— Już gwiazdy nie przypalają wełny baraniej

Wtuleni łagodnie oglądają wychodzących ludzi
w szparach powiek ruch unosi przechodniów wyżej
oto brzask dnia ich poszarzył zmarszczył wybrudził
taflami wzbierane światło dreszczem zimna liże

— Halabardnicy idą w sen gdy dnia tętno i granie

BALLADA O MIASTACH I MIASTECZKACH

W mieście o dostojnych bramach
w miasteczku o skrzypiących furkach
w miastach gdzie szyldy z serduszkami na łańcuszku
inne szyldy o sprawiedliwości a nawet miłości
w miasteczkach gdzie wybucha wołanie obywateli
o emeryturę dla psów
gdzie kobiety płaczą nad losem świętych
gdzie praworządność zabrania deptać trawniki
gdzie to i tamto i wiele rzeczy szlachetnych

W mieście lub miasteczku od czasu do czasu
tramwaj lub autobus przejedzie kobietę —
Wtedy jedna pani zabiera pieska i odchodzi szybko
to piesek delikatny i wrażliwy więc po co
inni bez piesków zostawali i patrzyli
bo rzadkość — taka młoda a nieuważna...
Tłum rósł ładne samochody przejeżdżały dalej
tłum oceniał sekwencję filmu
mrozzącą krew w żyłach przeżycie nie lada

i kto by pomyślał wyciągnąć kobietę spod kół
a motorniczy w tym mieście praworządny bo jakże
jechać do tyłu
uczono go tylko naprzód i naprzód

Tylko anioł
który podobno był w tym mieście
czekał gdzie pierwszy sprawiedliwy a tu nic
rósł obłoczek różowy pejzaż dla miasta
ale anioł nie był malarzem
przestraszył się smoka tramwaju autobusu

PARADA

Kiedy inwalida przejeżdża ulicami,
zaczyna się parada w słońcu na tle zieleni...

Oto przejazd triumfalny bohatera. W jego uszach
zwycięskie dźwięki ugrzęzły jak w pomniku,
w jego oczach najlepsza zasłona dymna
na chwilę przed atakiem czołgów i piechoty,
jego język — sztandar płomienny, chluba armii...
Dumny order wojny zawiera jeszcze krew,
a ręce szare i cienkie jak proch armatni...

To pocisk wybuchający co dzień na ulicy,
„Taki niewypał niegroźny” — mówicie żartując
A on — dzielność armii — przejeżdża popychany
z prośbą o przebaczenie, że psuje widok uliczny
i zaśmieca nowoczesny pejzaż miasta,
i rozjaśnia zasłonę dymną przed atakiem
złego spojrzenia pani z parasolem i pana w kapeluszu...

Ludzie przechodzący ulicami —
oto paczka przysłana wam z wojny.

KTO OGŁOSI KOMUNIKAT

Z hipotez uczonych:

*Wojnę atomową przeżyją niektóre gatunki
owadów.*

W jesienny wieczór wiatr
lekki ołów otrząsa liście
odchodzące na drogi
albo na groby

W radio dziewięta Beethovena
a spod warstw muzyki
wczoraj wyszedł z domu
i nie wrócił
tyle a tyle lat
oczy piwne
metr siedemdziesiąt wzrostu
kto by wiedział

Wieczorem wydłużającym się
świstem wiatru

człowieka poszukują uparcie obłąkanie
człowieka który wyszedł z domu

Kto ogłosi komunikat
po błysku i wietrze radioaktywnym
mrówki postawią pomnik na cześć
komar ze złością zabrzączy
nigdzie ani śladu krwi

WOJENKO, WOJENKO

Ta szarość, szarość nakrapiana metalem,
zieleń wyblakła z soków;
te szeregi, którymi bawi się słońce,
i twarz przed szeregiem płachta matadora.

Jesteś wkuty — twardy pion i mechanizm,
więc raz i dwa, raz i dwa —
wyłączyć mózg jak zegarek zatrzymany,
włączyć ciało jak zegarek, gdy chodzić zaczyna.

Ten pył na drodze — wojenko, wojenko —
aureola po cierpliwych na cześć zatrzymanych zegarów.

Drapieżne ptaki w uszach gniazda wiją
i oczy wrażliwe tylko na geometrię;
wiatr przychodzi z warstw ołowiu,
krzak samotny kolcami wędruje drogą żył.

Te dzieci bawiące się — mary z zaświatów,
bliskie włosy i usta tak zimne oddaleniem, że tylko ból...

Tu są śpiewy o nich:
rytmiczne darcie kredą po tablicy.

A ten pył na drodze — wojenko, wojenko —
aureola po cierpliwych
na cześć zatrzymanych na zawsze zegarów.

MÓWI CZŁOWIEK

Tyle zamysłów i marzeń wyszarzało:
wtedy byłem człowiekiem o ruchach swobodnych
jak obrót liścia lub lot ptaka,
jak kształty obłoków wciąż nieprzewidziane.
Wzrok — to było światło na wolności,
słuch — to były głosy dowolnie modulowane,
dotyk — to był powrót w serdeczność i ciepło
W sumie: ja o kształtach nieregularnych
żyłem najpełniej nie odczuwając siebie.

Teraz jestem nerwem i każde słowo uderzeniem,
jestem jak chory nerw zęba, którym obracają
ustawiając w nowe, obce miejsca...
Tu moje słowo nic nie znaczy,
mój głos jest śmiesznym płaczem arlekina,
którym zachłystuje się kilku widzów,
tych od tresury ciała...

Oto ja,
z ramieniem zawieszonym na linie,

i moje ręce idealne,
gdy zamieniają się w ręce pajaca.

Oto ja,
metr sześćdziesiąt wzrostu,
powierzchnię stóp
przeciwstawiam kuli ziemskiej.

TRZY STADIA BOHATERSTWA

1

Bywa, że pudel w rękach ci skowyczy,
piesek pokrzywdzony, że kopnąć to zasługa-niespodzianka,
ale ostrzegam — nie włączaj narzędzia litości,
ale przestrzegam — nie sil się na łzawość szklistą,
w której kropkach niewinna dziewica i słodkie dzieciątko,
ale ostrzegam — wyłącz słowo i pojęcie człowiek to brzmi
dumnie,
ale przestrzegam — ten mikroskopijny wirtuoz...

Wchodzi gorliwie z majestatem jak pokojówka dygnitarza:
zwią Łuk i siada na nim,
paradzie stało się zadość — on dokonał cudu,
oczyścił swoją ziemskość, doskonale świat owinął wokół ogona.
Oto każdy ma swego pieska — ale piesek pieskowi nierówny.

2

Następne stadium to grzywa wabi cię jak pióropusz,
ostrogę — podkową szczęśliwą ozdabiasz czoło,

przechodzisz tak a tak ułańsko jak baletnica,
las lanc wiwaty oddaje i wieczny świt rozwiesza.
Koniecznie muszą być fanfary i werbli serca wzdęte,
szczypta tkliwości i jesteś wielkim Napoleonem...
Grzywa ułańska i lanca bezpańska — sięgasz jak clown:
Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani, że, że...
Oto każdy ma swego konia — ale koń koniowi nierówny.

3

Jest jeszcze jedno stadium. Wtedy pył osiada
na złoconej zbroi, a koń i piesek u wezglowia,
i święci na ścianach cierpią srogo.
Krótkie to stadium, bo koń i piesek wypchane
czynami. Umiera bohater w niebie między
prześcieradłem a kołdrą obitą orderami i śniedzią:
więc zostaje ten ciężar narzędziem spokojnym dwóch Łuków,
aureoli konaniem, wiecznym niebem i ciągłym już spaniem.

*

*

*

Wśród urosłych naraz sztandarów
zasypany ludźmi — oddechami wyrzucony —
jestem kulą bilardową,
z krzyżujących się głosów wyławiam
swój własny — — —

Ja — który przeszedłem po cudzych ramionach
epokę — który ani jednej cegły nie wmurowałem...
W moich żyłach krew braci poległych —
który ja właściwy — podziwiający sztandary,
czy ten z żalem do daty urodzenia —
Który?

Wśród urosłych naraz domów z wygodami
ułożony w życiu miękko,
zawstydzony przechodzę obok robotników
naprawiających jezdnię —

Serce bije żywiej i schyla mnie do ich rytmu...
Ale ja moim „dzień dobry” zażegnuję samego siebie,
ja — pewny siebie, a skulony pod murem —
Który ja? Kto to ja?

SKĄD TO PRZETACZANIE

Skąd to nasze przetaczanie krwi
trwa jak w roślinie soki wyżej i wyżej
od korzeni do pąka od łodygi do kwiatu
więc oko w fałszu że to rosa z wysoka
jakby z tego nieba gdzie najpierw
kształt a potem świst zawracaniem pamięci
i czas w takim rygorze że nic nie znaczy

Skąd to przetaczanie krwi tak skrupulatne
(może to przetaczanie alkoholem
na ranę pamięci w której popiół zasuszoną łzą)
drożdżowieniem obsesji gdy wciąż niech drży wróg
symbolem szlachetności odwagi bez zmrużenia
która wiecznie miłością i cierpieniem bladym

Skąd to nasze przetaczanie krwi
z pokolenia które z raną w pokolenie
do którego wstęp drogą soków głębinowych

i na lże podobno nie stać jak na rosę jezioro wyschłe
(wciąż to zdrapywanie przysychłych ran
rytmiką morza zwilżającego plażę)
i zamiast rdzewienia jest tylko brąz i miedź

DO CÓRKI

Kalino, córko urodzona w kwiatach czerwca,
jestem już inny — a miałem pola rozesłać
dla ciebie i w śpiewie ludu znów umieścić.

Świat przywitał cię wybuchem nuklearnym —
taki zgotowano ci salut na największej wysokości;
jeszcze krzyknąć nie zdążyłaś żyjąc, a już
błysk dla ciebie — aureola ponad chmurami...
Oto, z jaką chwałą i pod jakim znakiem urodzonaś,
i w jakie weszłaś światło — —

Stoję bezradny u wrót, skąd matki ręce wyniosą
i wydadzą światu — ciebie, wyjętą z pieśni ludu...
Cóż więcej mogę ci zapewnić prócz imienia.

czerwiec 1962

TEN OWOC

Ten owoc o strukturze światła —
przeptyw linii w kształty —
włosami powiela niebo,
więc wypływają chmury.

Ten owoc o pulsującym ramieniu —
słońca przyciąganie jak magnesem,
nas obraca słonecznikiem,
wzrok rozszczępiony wielobarwiami —
wzrok umęczony.

Ten owoc.

SREDNIOWIECZE NASZEJ MIŁOŚCI

W tym mieście średniowiecza
w mieście naszych ciągłych inkwizycji
o północy nie kogut ale księżyc
srebrnym grzebieniem wyje
obejmując profil piersi dziewczyny
dwucieniem wyrzucenia jej rąk
gdy w nachyleniu włosy lasem w oddali
w sen zabierają tamten czas

W tym mieście naszego średniowiecza
jesteś białym cieniem szpitalnym
dziewczyny w oknie która — na chwilę
ostrym zarysem ciebie z granitu —
ściąga mnie na dno ziemi

MIŁOŚĆ

Idziemy owijając siebie ścieżką,
otuleni polem, jedynym naszym tłem —
więc wciąż idziemy, idealne równoległe,
lub tak podobni jak dwie krople
światła albo piasku...

Pochyleni smutkiem od stóp
do najczulszych punktów źrenic —
tak ostatecznych,
że jeśli wszystko kłamstwem
one pozostaną ostatnią iskrą...

Idziemy obok siebie bez nadziei —
dwie idealne równoległe.

EROTYK

Jesteś gwiazdą nie spełnioną w dzień,
ostrym szkicem ruchu w chwili,
gdy na tafli wiatru układasz włosy
i nogą płoszysz światło,
aby wejść zwyczajnie — jak wchodzi
motyl w pyłek kwiatu.

Bywasz brzaskiem dnia wśród nocy,
fontanną rąk nad głową —
wezbraniem rzeki, bielą zachłanną,
gdy twoje ramię ścina mnie jak sierpem.

Jesteś także uciszonym marmurem —
znikaniem w zmęczenia nicość,
kiedy lgniemy zaczażeni do powierzchni
jak polna ścieżka do obszaru pola.

Na chwilę zalsńiewam w twojej źrenicy
i milknę — jak zapalka po swoim triumfie.

WZROK O ŚPIĄCEJ

To jest przemierzanie siebie,
dopasowywanie nierówności ciała,
wygładzanie cieni.

Ta biel wzdłuż ciała,
więc wzrok wydobywa kolor —
może być słup soli
albo słup wapna.

Tak spływają czyjeś oczy
wyścielające ciało,
tylko policzki płatkami piwonii,
nogi wrastają w łóżko —

Wreszcie to zwijanie ciała,
siadanie i nastroszenie kota
Łukiem Struchłałym.
Wtedy zanurzenie się w pościeli,
śpiącej utonięcie w warstwach
przemierzaniem
między prześcieradłem a kołdrą.

MAŁY EROTYK

Ciał zawężenie w zmrużeniu źrenic
świat kształtowany w jedną bryłę
po to żeby stopy otarte o ścianę
krzesały słowa ciche że bez dźwięku

Ramiona tak upięte w klamrę
że rzęsy kaleczą ciało
że oddech wyprzedza serce
że świt i nie ma świtu

*

*

*

Jest słońce to samo i ziemia wciąż ta sama
Jesteś ty jak dawniej i ja chłonę ciebie wzrokiem
I tyś piękna więc jak dawniej grozi ci zamach
Świata z którym dawny spór o twe istnienie wlokę

Wciąż się pniemy wyżej i ta wysokość tak nas odmienia
Że już nie ma naszej miłości jak kosmonaucie brak cienia

WIERSZ SENTYMENTALNY

Widzę cię co dzień, gdy wzrok łaskawy
na piec skierujesz i ręką przywrócisz tętno —
więc serdecznie łąsi się jak kot.

Idziesz zwiewnie prowadząc mnie na spojrzeniu,
jak prowadzi się wzrokiem dziecko,
gdy chodzić zaczyna
(czasami wiatr spojrzenia zawiąże,
wtedy stoisz w słońcu jak pomnik).

Widzę cię co dzień, gdy miotłą pył
strzepujesz — powagę przedmiotom odbierasz,
aby znowu świeże przywrócić oku —
bawi mnie przesada twoja w walce z kurzem
(tak Don Kichot walczył z rycerzami wyobraźni).
Kiedy pierzesz, ręce twoje fruują jak słowa
w złości — potem koszule torturujesz,
żeby łagodne były dla mnie.

W realiach dnia
jesteś najbardziej realna
i ziemską jak najzwyczajniejszy dzień.
Umiesz ułożyć
jarzyny obok swego wdzięku
(tak malarz układa kolory na płótnie)
i próżność podobania się
obok troski o chleb.

ODJAZD

Chorągiewka opuściła pociąg
i zapadam się,
jakby łańcuch wagonów zawieszono mi u szyi.
Twój płaszcz zaognił peron
i kiosk w płomieniach —
gubię ciebie w iskrach parowozu
i gwizd urąga
przeraźliwym śmiechem.

Już czerwień twego płaszcza płonie
coraz słabiej
jak ogień na bagnie, gdzie tonę
i rękę wyciągam —
jakbym utonął.

Mój odjazd —
moje umieranie w tobie
i nagły wybuch
ciebie — we mnie.

*

*

*

Skupiam ciebie w źrenicy
i twój odjazd
mój krok w bieg kukły zmienia.

Odjeżdżasz
wśród wodospadu kamieni
wystrzelonych z bruku żalem,
mój ból nagłym ptakiem
wrywa się z dłoni.

INNA TY — NIEUCHWYTNA

To już nie fotografia,
ustalona poza i zwrócenie twarzy do światła,
ułożenie rąk równoległe do ciała —
Oto niezgoda nas z krzesłem,
i z uśmiechem drewnianego świątka.

Tu powietrze w trójwymiarach,
soczysto utrwalone na powierzchni oczy,
wargi powaśnione — śmiech.

W prostokącie uwięziono ciebie dla mnie.
Inne ściany — gdzie cię szukać wielostronnej,
inna ty — nieuchwytna.

SZYJA

A kiedy oczy albo szumniej
wzrok wybrał
to krzesło ten stół i tę twarz nad stołem
na którym wciąż cień jej skacze po słowach
radosnym skokiem polnego konika
widzisz nagle: figurę osaczoną na szachownicy
gdzie jeden kwadrat pola a cztery już osoby —
więc zaraz po spojrzaniach modnych bez wstydu
zostaje tylko twarz nad stołem i głowa w cofnięciu
nagłością fotoplastykonu:
Szyja o której nic o której nikt która tylko powierzchnią
burzliwym wodospadem lub swojsko porohem
na której — ze zdziwieniem — ślad jedwabnego sznura
Szyja idealna dla czerwonych rękawiczek
z własnych pończoch — jakby i tu katowskie piętno
Szyja laskocząca usta idealna do pocałunków
bandny łuk sarny i wewnątrz dla pierścienia
pulsuje powierzchnią po słowach — Wszystko

już trwa sekundy — Opuszczenie głowy pokonanego konia
na kratce kawiarnianej niby obojętnej szachownicy

Oto tragedię i farsę oczy albo szumniej
wzrok wybrał

*
* *
*

Ty jesteś ostateczną a tak niewidoczną miarą
gdy sobą życie moje wciąż od nowa odmierzasz
jesteś nie wnętrzem kamienia o którym poeci
lecz próżnią po nim która już nie do rozłupania

— — więc zakazać by istnienia
twojego piękna w przeszłości nas — —

PEJZAŻ NOCY

Nocy tłem ocean doskonały — tylko tonąć
z przeświadczeniem, że śmierć na niby —
Egzekucja siebie i zabawa w obrońcę —
znowu pustynia, gdy oczy dalekie oazy.

Oto noc jedynym tłem
dla malarza słońca.

*

*

*

Pamięci Stanisława Piętaka

Słowa tego nikt nie udźwignie:
tak się objawia przerażenie życia,
które siebie ze światem równoważy
i nie ma już więcej żadnych granic —
Pola rozległe i chmury w sadach wiśni,
przymierze lat w przymierzaniu do ziemi:
Jesteś w tych polach, we mgle i w gwałtownym
zrywie tak nieustannym, że już bezruchem;
słowa taką falą, że już ciszą — Najwięcej
mówią niemi, ale ich mowa nikomu się nie przyśni...
Oto znowu te same promienie we włosach drzew,
ciągle wyrywanie się do słońca
razem z polem i lasem, i przodków losem —
Stąd niemoc — więc wejście w marmur największym ruchem.
Oto bohaterki napiętnowane i bose,
pierwsza miłość, co dziewczyną i wiedzą,

i innym światem, który przyjąć nie chce
z chmurą i sadem, i ziemią najprostszą,
nigdy nie porzuconą nawet jednym kłosem...

styczeń 64

RECE CHŁOPÓW

Ziemię pokrywają ręce chłopów
przesypujących
i wywracających jej powierzchnię
na drugą stronę
jak ciężką zapisaną kartę.

Ziemię pokrywają ręce chłopów,
gdy układają skiby obok siebie,
jak morski wiatr układa fale
wciąż od nowa

Ziemię pokrywają ręce chłopów.

*

*

*

W liście matki,
ćwiczeniu z fonetyki doskonałym,
słowa wprost z trudu —
Więc od bólu litery krzywe
i znaczenia wryte w chropowaty papier
jak napis rzeźbiarza w granicie.

W krótkim liście matki
odczytuję długie milczenie:
Zrównanie myśli z niedopisanym słowem.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Pień rozgrzany do bieli
i wiosna już w obrocie krwi —
ptak sfrunął drzewu zieleniąc liście
i wwiódł jak mnie w którąś jego wiosnę.
(wiem, że spełnienie jest klęską,
dlatego chwilę przed nim
przedłużam w sobie —
Stąd marzenie o marzeniu samym).

Wracam jak w podróżach ptaków
po drogowskazach kominów i wież:
Znowu początkiem przestrzeń
między stopą a ziemią
elastyczna w nieskończoność.

Tę wiosnę-chwilę i ćwierćwiecze
ptak wyćwierkał
z moim istnieniem doskonalszym
od bólu.

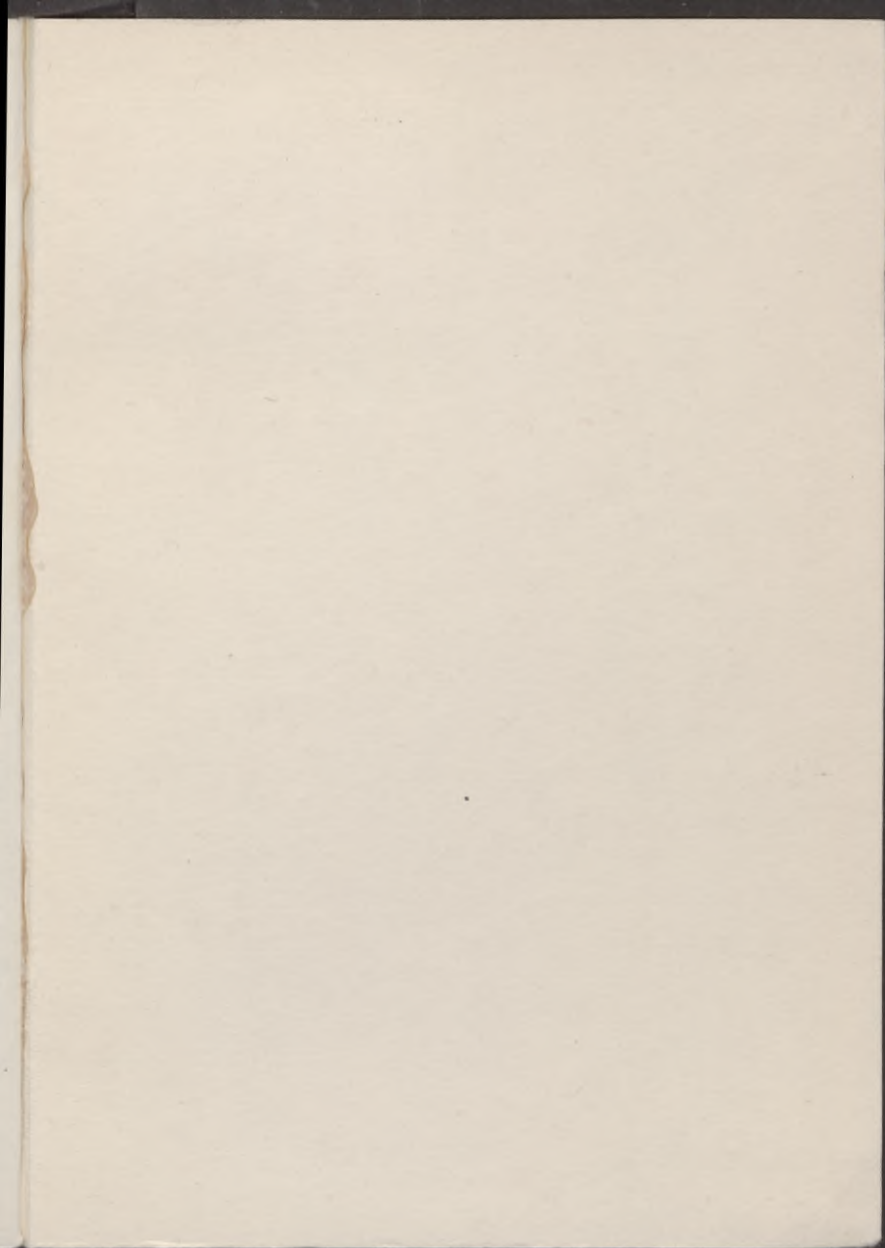


SPIS RZECZY

Prośba	5
To a to	6
Śmiech i płacz	7
Obrona łzy	8
Z podróży wróciłem	9
(Dym opadł...)	10
Umarli	11
Z Witkacego	13
Przypowieść	14
Nadrealizm teatru	15
Jest we mnie noc	16
Moim twórcom	17
Dzwon	18
Wahanie	19
Błazen	21
Gazeta	23
Lotnik znad Hiroszimy prosi o karę	25
Murzyn	30
Wchodzę do miasta	31
Ranna droga do pracy	33
W fabryce żarówek	35
Nocni stróże	36
Ballada o miastach i miasteczkach	38

Parada	40
Kto ogłosi komunikat	41
Wojenko, wojenko	43
Mówi człowiek	45
Trzy stadia bohaterstwa	47
(Wśród urosłych...)	49
Skąd to przetaczanie	51
Do córki	53
Ten owoc	54
Średniowiecze naszej miłości	55
Miłość	56
Erotyk	57
Wzrok o śpiącej	58
Mały erotyk	59
(Jest słońce...)	60
Wiersz sentymentalny	61
Odjazd	63
(Skupiam ciebie w źrenicy...)	64
Inna ty — nieuchwytna	65
Szyja	66
(Ty jesteś...)	68
Pejzaż nocy	69
(Słowa tego...)	70
Ręce chłopów	72
(W liście matki...)	73
Dwadzieścia pięć	74





Miejska i Powiatowa
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. M. Dąbrowskiej
w Słupsku

Nr inwent. 32935

MBP Słupsk Centrala



32935